JANUSZ KORCZAK

PRAWO DZIECKA DO SZACUNKU

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „K S I Ą Ż K A"
WARSZAWA 1948 KRAKÓW

PRAWO DZIECKA DO SZACUNKU

Z WYDAWNICTW J. MORTKOWICZA

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA"
ODDZIAŁ W KRAKOWIE
POD DYREKCJĄ JANINY MORTKOWICZOWEJ

JANUSZ KORCZAK

PRAWO DZIECKA DO SZACUNKU

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „K S I Ą Ż K A"
WARSZAWA 1948 KRAKÓW

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA“
WARSZAWA - KRAKÓW
Printed in Poland
Wrzesień 1948 rok

Pedagogiczna
Biblioteka Wojewódzka
we Wrocławiu
Nr inw 15827

Dolnośląska Biblioteka Pedagogiczna
we Wrocławiu
WRO0140116

1954 K. 317

M-43200

Tłoczono 5.400 egzemplarzy
Obj. $2^{3}/_{4}$ ark. 61 × 86 cm. Papier satyn. V kl. 70 gr.
Państwowe Krakowskie Zakłady Graficzne, Kraków, Wielopole 1.

LEKCEWAŻENIE — NIEUFNOŚĆ

Od zarania wzrastamy w poczuciu, że większe — ważniejsze od małego.

— Jestem duży — cieszy się dziecko, postawione na stole. — Jestem wyższy od ciebie — stwierdza z uczuciem dumy, mierząc się z rówieśnikiem.

Przykro wspinać się na palcach i nie móc dosięgnąć, ciężko drobnymi krokami nadążać za dorosłymi; z małej ręki wyślizgnie się szklanka. Niezręcznie z mozołem pnie się na krzesło, do pojazdu, na schody; nie może ująć klamki, wyjrzeć przez okno, zdjąć lub zawiesić, bo wysoko. W tłumie zasłaniają, nie dostrzegą, potrącą. Niewygodnie, przykro być małym.

Szacunek i podziw budzi to, co duże, więcej zajmuje miejsca. Mały — pospolity, nie ciekawy. Mali ludzie, małe potrzeby, radości i smutki.

Imponują: wielkie miasto, wysokie góry, wyniosłe drzewo. — Mówimy:

— Wielki czyn, wielki człowiek.

Dziecko małe, lekkie, mniej go jest. — Musimy się pochylić, zniżyć ku niemu.

Co gorsze, dziecko jest słabe.

Możemy podnieść, podrzucić do góry, wbrew woli posadzić, możemy przemocą zatrzymać w biegu, udaremnić wysiłek.

Ilekroć nie posłucha, mam w rezerwie siłę. Mówię: „nie odchodź, nie rusz, odsuń się, oddaj". Ono wie, że musi; ile razy próbuje bezskutecznie, zanim zrozumie, podda się, zrezygnuje.

Kto i kiedy, w jak wyjątkowych warunkach, ośmieli się dorosłego pchnąć, szarpnąć, uderzyć? A jak codzienny i niewinny — klaps, wymierzony dziecku, mocne pociągnięcie za rękę, bolesny uścisk pieszczoty.

Poczucie niemocy wychowuje cześć dla siły; każdy, już nie tylko dorosły, ale starszy i silniejszy, może brutalnie wyrazić niezadowolenie, siłą poprzeć żądanie i wymóc posłuch: może skrzywdzić bezkarnie.

Uczymy własnym przykładem lekceważenia tego, co słabsze. Zła szkoła, ponura przepowiednia.

Zmieniło się oblicze świata. Już nie siła mięśni wykonywa pracę i broni przed wrogiem, nie siła mięśni wydziera ziemi, lasom, morzu — panowanie, dosyt i bezpieczeństwo. Ujarzmiony niewolnik — maszyna. Mięśnie straciły wyłączny przywilej i walor. — Tym większy szacunek dla intelektu i wiedzy.

Podejrzany lamus, skromna cela myśliciela — rozrosły się w hale i gmachy badacza. Narastają piętra bibliotek, uginają się półki pod ciężarem ksiąg. Zaludniły się świątynie dumnego rozumu. — Człowiek wiedzy tworzy i rozkazuje. Hieroglify cyfr i kresek raz wraz ciskają tłumom nowe zdobycze, dają świadectwo ludzkiej potęgi. — Trzeba to wszystko ogarnąć pamięcią i rozumieniem.

Wydłużają się lata mozolnej nauki, coraz więcej szkół, egzaminów, drukowanego słowa. — A dziecko małe, słabe, które krótko żyło — nie czytało, nie umie...

Groźne zagadnienie, jak dzielić zdobyte obszary, jakie komu zadanie i zapłata, jak się zagospodarować na opanowanym globie. Ile i jak rozrzucić warsztaty, by nakarmić głodne pracy ręce i mózgi, jak utrzymać mrowie ludzkie w posłuchu i ładzie, jak się zabezpieczyć przed złą wolą i szaleństwem jednostki, jak godziny życia wypełnić działaniem, spoczynkiem i rozrywką, bronić przed apatią, przesytem i nudą. Jak wiązać ludzi w karne skupienia, ułatwiać porozumienie; kiedy rozpraszać i dzielić. Tu popędzać i zachęcać, tam hamować, tu rozpalać, tam gasić.

Politycy i prawodawcy ostrożnie probują, a raz wraz się mylą.

I o dziecku radzą i postanawiają; ale któż pytać się będzie naiwne o sąd i zgodę; cóż ono mieć może do powiedzenia?

Obok rozumu i wiedzy, w walce o byt i wpływy pomaga spryt. Zabiegliwy wywęszy trop i nad wartość otrzyma zapłatę; wbrew rzetelnym obliczeniom, nagle i łatwo zdobywa; olśniewa i zazdrość budzi. Przebiegle trzeba znać człowieka, — już nie ołtarze, ale chlewik życia.

A dziecko drepce niezaradnie z książką szkolną, piłką i lalką; przeczuwa, że bez jego udziału, ponad nim, dzieje się ważne i silne, co decyduje o doli i niedoli, karze i nagradza i łamie.

Kwiat jest zapowiedzią przyszłego owocu, pisklę będzie kurą, która znosi jaja, cielę będzie dawało mleko. Tymczasem staranie, wydatek i troska: czy się uchowa, czy nie zawiedzie?

Młode budzi niepokój, długo czekać trzeba; może będzie podporą starości i z nawiązką pokryje. Ale zna życie posuchy, przymrozki i grady, co warzą i niszczą plony.

Szukamy zapowiedzi, pragniemy przewidzieć, zapewnić; niespokojne oczekiwanie, co będzie, zwiększa lekceważenie tego, co jest.

Mała rynkowa wartość młodego. Tylko wobec Prawa i Boga kwiat jabłoni tyle wart, co jabłko, zielona ruń, ile łan dojrzały.

Piastujemy, osłaniamy, żywimy, kształcimy. Nie troszcząc się, otrzymuje; czym byłoby bez nas, którym wszystko zawdzięcza?

Jedynie, wyłącznie, wszystko tylko — my.

Znamy drogi do pomyślności, dajemy wskazówki i rady. Rozwijamy zalety, tłumimy wady. Kierujemy, poprawiamy, zaprawiamy. Ono nic, wszystko — my.

Rozkazujemy i żądamy posłuchu.

Moralnie i prawnie odpowiedzialni, wiedząc i przewidując, jesteśmy jedynymi sędziami czynów, ruchów, myśli i zamierzeń dziecka.

Wydajemy zlecenia, czuwamy nad spełnieniem; zależnie od woli i rozumienia — nasze dzieci, nasza własność — wara.

(Zmieniło się prawda co nieco. Już nie tylko wola i autorytet wyłączny rodziny — ostrożna jeszcze, ale już kontrola społeczna. Zlekka, niepostrzeżenie).

Żebrak rozporządza dowoli jałmużną, dziecko nic nie ma własnego, musi zdać sprawę z każdego, otrzymanego za darmo do użytku przedmiotu.

Nie wolno podrzeć, złamać, zabrudzić, nie wolno podarować, nie wolno odrzucić niechętnie. Ma przyjąć i być zadowolone. — Wszystko w oznaczonym miejscu i czasie, rozważnie i zgodnie z przeznaczeniem.

(Może dlatego ceni bezwartościowe drobiazgi, które budzą zdziwione politowanie: rupiecie — jedyna naprawdę własność i bogactwo, sznurka, pudełka, paciorków).

Za świadczenia ma dziecko ulegać, zasłużyć dobrym sprawowaniem — niech wyprosi, wyłudzi, byle nie żądało. Nic mu się nie należy, z dobrej woli dajemy. (Nasuwa się bolesna analogia: przyjaciółka bogacza).

Przez nędzę dziecka i łaskę materialnej zależności — znieprawiony jest stosunek dorosłych do dzieci.

Lekceważymy dziecko, bo nie wie, nie domyśla się, nie przeczuwa.

Nie zna trudności i powikłań dorosłego życia, nie wie, skąd płyną okresy naszych podnieceń, zniechęceń i znużeń, co płoszy spokój i kwasi humory: nie zna dojrzałych porażek i bankructw. Łatwo uśpić, zwieść naiwne i ukryć.

Sądzi, że życie jest proste i łatwe. Jest tatuś, jest mama; ojciec zarabia, mama kupuje. Nie zna zdrad wo-

bec obowiązków, ani sposobów walki człowieka o swoje i więcej.

Samo wolne od trosk materialnych, od mocnych pokus i wstrząśnień — znów nie wie i sądzić nie może. — My zgadujemy je w lot, jednym niedbałym spojrzeniem nawskroś przenikąmy, bez śledztw wykrywamy nieudolne podstępy.

A może łudzimy się, sądząc, że dziecko to tylko tyle, ile my chcemy? Może kryje się przed nami, może cierpi skrycie?

Łupimy góry, wycinamy drzewa, tępimy zwierzęta. Coraz liczniejsze osiedla, gdzie dawniej knieje i moczary. Zasadzamy człowieka na raz wraz nowych terenach.

Ukorzyliśmy świat, służy żelazo i zwierzę; ujarzmiliśmy rasy kolorowe, z gruba ułożyliśmy stosunek wzajemny narodów i ugłaskaliśmy masy. Odległy jeszcze ład sprawiedliwy, więcej krzywdy i poniewierki.

Niepoważne się zdają dziecięce wątpliwości i zastrzeżenia.

Jasny demokratyzm dziecka nie zna hierarchii. Do czasu boli je pot wyrobnika i głodny rówieśnik, niedola dręczonego konia, zarzynanej kury. Bliski mu pies i ptak, równy motyl i kwiat, w kamyku i muszelce odnajduje brata. Niesolidarne w wyniosłej dumie dorobkiewicza, nie wie, że człowiek tylko ma duszę.

Lekceważymy dziecko, bo ma przed sobą wiele godzin życia.

Czujemy trud własnych kroków, ociężałość interesownych ruchów, skąpstwo postrzegań i odczuwań. Dziecko biega i skacze, bez potrzeby patrzy, dziwi się i rozpytuje; lekkomyślnie łzy roni i szczodrze się cieszy.

Cenę ma piękny dzień jesieni, gdy słońce rzadziej; wiosną i tak zielono. Wystarczy byle jak, mało do szczęścia potrzeba — zbędne starania. Pospiesznie, niedbale je zbywamy. Lekceważymy mnogość jego życia i radość, którą dać łatwo.

Nam uciekają ważne kwadranse i lata; ono ma czas, zdąży jeszcze, doczeka.

Dziecko nie jest żołnierzem, nie broni ojczyzny, choć wraz z nią cierpi.

O opinię nie trzeba się ubiegać, bo nie jest wyborcą: nie grozi, nie żąda, nie mówi.

Słabe, małe, biedne, zależne — dopiero będzie obywatelem.

Pobłażliwe, szorstkie, brutalne, a zawsze lekceważenie.

Smarkacz, dziecko tylko, przyszły człowiek, nie teraźniejszy. Będzie dopiero naprawdę.

*
*   *

Pilnować, na chwilę nie spuszczać z oka. Pilnować, nie pozostawiać samego. Pilnować, nie odstępować.

Przewróci się, uderzy, skaleczy, zabrudzi, wyleje, podrze, złamie, zepsuje, zarzuci, zgubi, ogień zaprószy, wpuści do domu złodzieja. Zaszkodzi sobie, nam, o kalectwo przyprawi: siebie, nas, towarzysza zabawy.

Czuwać — żadnej samodzielności poczynań — pełne prawo kontroli i krytyki.

Nie wie, ile i co jeść, ile i kiedy pić, nie zna granic zmęczenia. Więc stać na straży diety, snu i spoczynku.

Jak długo, do kiedy? Zawsze. Z wiekiem zmienia się, ale nie zmniejsza, nawet wzrasta nieufność.

Nie odróżnia, co ważne, co błahe. Obcy mu ład i systematyczna praca. Roztargnione zapomni, zlekceważy, zaniedba. Nie wie, co — przyszłość odpowiedzialna.

Musimy pouczać, kierować, wdrażać, tłumić, powściągać, prostować, ostrzegać, zapobiegać, narzucać i zwalczać.

Zwalczać grymas, kaprys upór.

Narzucać program ostrożności, przezorności, obaw i niepokojów, złych przeczuć i mrocznych przewidywań.

My doświadczeni wiemy, ile wokoło niebezpieczeństw, zasadzek, pułapek, fatalnych przygód i katastrof.

Wiemy, że najwyższa ostrożność nie daje zupełnej gwarancji; ale tym podejrzliwsi: żeby mieć czyste sumienie, żeby w razie nieszczęścia nie mieć sobie przynajmniej nic do zarzucenia.

Miły mu hazard swawoli, dziwnie lgnie właśnie do złego. Chętnie złym podszeptom posłuszne, najgorsze naśladuje wzory.

Łatwo się psuje, a trudna poprawa.

Pragniemy dobra, ułatwić chcemy; dajemy bez reszty całe doświadczenie: sięgnąć tylko — gotowe. Wiemy, co dzieciom szkodzi, pamiętamy, co nam szkodę przyniosło — niech wyminie, oszczędzi, nie zazna.

— Pamiętaj, wiedz, zrozum.

— Przekonasz się, zobaczysz.

Ono nie słucha. Jakby rozmyślnie, jakby złośliwie.

Trzeba pilnować, by posłuchało, trzeba pilnować, by wykonało. Samo jawnie dąży ku złemu, drogę wybiera gorszą, niebezpieczniejszą.

Jakże tolerować bezmyślne psoty, niedorzeczne wyskoki, niepoczytalne wybuchy.

Podejrzany człowiek pierwotny. Zda się uległy, niewinny, w istocie przebiegły, podstępny.

Potrafi wyślizgnąć się spod kontroli, uśpić czujność, oszukać. Zawsze ma w pogotowiu wymówkę, wykręt; ukryje i zgoła skłamie.

Niepewny, wątpliwość budzi.

Lekceważenie i nieufność, podejrzenia i oskarżenie.

Bolesna analogia: więc awanturnik, pijany, zbuntowany, obłąkany. — Jakże razem pod jednym dachem?

N I E C H Ę Ć

Nic to. Kochamy dzieci. Mimo wszystko są osłodą, otuchą i nadzieją, radością i wypoczynkiem, jasnym blaskiem życia. Nie płoszymy, nie obarczamy, nie nękamy; czują się swobodne i szczęśliwe...

Czemu jednak — jakby ciężar, zawada, niewygodny dodatek? Skąd niechętna opinia o kochanym dziecku?

Zanim powitało niegościnny świat, już w życie rodziny wkradły się zamieszanie i ograniczenia. Załamują się bezpowrotnie krótkie miesiące z dawna oczekiwanej, uprawnionej radości.

Długi okres ociężałego niedomagania kończy choroba i ból, niespokojne noce i nadprogramowy wydatek. Zakłócony spokój, zepsuty ład, zachwiana równowaga budżetu.

Wraz z kwaśnym zapachem pieluch i przenikliwym krzykiem noworodka zadźwięczał łańcuch niewoli małżeńskiej.

Ciężar, gdy niesposób się porozumieć, trzeba domyślać się i zgadywać. Czekamy, może nawet cierpliwie.

Gdy wreszcie mówi i chodzi — plącze się, wszystko poruszy, w każdy kąt zajrzy, równie dotkliwie zawadza i psuje porządek, mały niechluj — despota.

Szkody wyrządza, naszej rozumnej woli się przeciwstawia; żąda i rozumie to tylko, co mu dogadza.

Nie należy lekceważyć drobiazgów: na urazę do dzieci składa się i zbyt wczesne przebudzenie, i zmięta gazeta, plama na sukni i tapecie, dywan zmoczony, binokle stłuczone i pamiątkowy wazonik; wylane mleko i perfumy, i honorarium doktora.

Śpi nie wtedy, kiedybyśmy pragnęli, je nie tak, jak chcemy; myśleliśmy, że się roześmieje, a spłoszone płacze. A kruche: byle niedopatrzenie grozi chorobą, nowe zwiastuje trudności.

Jeśli jeden wybacza, drugi tym łacniej oskarża i szczuje; prócz matki, opinię o dziecku urabia ojciec, piastunka, służąca, sąsiadka — wbrew matce lub skrycie wymierzy karę.

Mały intrygant bywa powodem tarć i kwasów dorosłych; zawsze ktoś niechętny i urażony. Za pobłażliwość jednego, dziecko odpowiada przed drugim. Często dobroć pozorna jest nierozumnym niedbalstwem; na dziecko za cudze winy spada odpowiedzialność.

(Nie lubią chłopiec i dziewczynka, gdy ich nazywać: dzieci. Wspólne z najmłodszymi imię każe odpowiadać za przeszłość, dzielić złą renomę malców — gdy równie liczne nadal spotykają zarzuty).

Jak rzadko jest takie, jakbyśmy pragnęli, jak często jego wzrostowi towarzyszy uczucie zawodu.

— Już przecież powinno...

Wzamian za to, co z dobrej woli dajemy, powinno starać się i nagradzać, powinno rozumieć, godzić się i zrzekać; a przede wszystkim — czuć wdzięczność.

Rosną z wiekiem obowiązki i wymagania; najczęściej inaczej i mniej, niż pragniemy.

Część czasu, żądań i władzy przekazujemy szkole. Podwaja się czujność, wzmaga odpowiedzialność, powstają kolizje rozbieżnych uprawnień. Ujawniają się braki.

Rodzice wybaczą życzliwie, pobłażliwość ich płynie z jasnego poczucia winy, że powołali do życia, wyrządzonej krzywdy w obliczu dziecka ułomnego. Niekiedy matka w chorobie rzekomej dziecka szuka broni przeciw obcym oskarżeniom i własnym wątpliwościom.

Na ogół głos matki nie budzi zaufania. Stronny, niekompetentny. Sięgnijmy raczej po zdanie wychowawców, rzeczoznawców, doświadczonych: czy dziecko zasługuje na życzliwość?

Wychowawca w domu prywatnym nie często znajduje pomyślne warunki współżycia z dziećmi.

Skrępowany nieufną kontrolą, wychowawca lawirować zmuszony między cudzym wskazaniem a własnym poglądem, zzewnątrz płynącym żądaniem a własnym spokojem i wygodą. Odpowiadając za powierzone mu dziecko, ponosi skutki wątpliwych decyzji prawych opiekunów i chlebodawców.

Zmuszony do ukrywania i omijania trudności, łatwo znieprawić się może w obłudzie, rozgoryczy i rozleniwi.

W miarę lat pracy wydłuża się odległość między tym, czego żąda dorosły, czego pragnie dziecko; wzrasta znajomość nieczystych sposobów ujarzmiania.

Jawi się skarga na niewdzięczną pracę: kogo Bóg chce ukarać, robi go wychowawcą.

Nuży nas ruchliwe, hałaśliwe, ciekawe życia i jego zagadek, męczą pytania i zdziwienia, odkrycia i próby z niefortunnym częstokroć wynikiem.

Rzadziej doradcy i pocieszyciele, częściej surowi sędziowie. Doraźny wyrok i kara — jeden dają skutek:

rzadsze, ale za to silne i przekorne będą wybryki nudy i buntu. Więc wzmocnić dozór, przełamać opór, zabezpieczyć przeciw niespodziankom.

Oto pochyła upadku wychowawcy:

lekceważy, nie ufa, podejrzewa, śledzi, przyłapuje, karci, oskarża i karze, szuka dogodnych sposobów, by zapobiec;

coraz częściej zabrania i bezwzględniej zmusza,

nie widzi wysiłku dziecka, by zapisać starannie kartkę papieru lub godzinę życia; stwierdza oschle, że źle.

Rzadki błękit przebaczeń, częsty szkarłat gniewu i oburzeń.

O ile więcej rozumienia wymaga wychowawstwo gromady, o ile łatwiej wpaść w błąd oskarżeń i uraz.

Nuży jedno małe i słabe, gniewają pojedyncze wykroczenia; a jak dokuczliwy, natrętny, wymagający i nieobliczalny w odruchach jest tłum.

Zrozumcie nareszcie: nie dzieci, a tłum. Gromada, banda, zgraja — nie dzieci.

Zżyłeś się z myślą, żeś silny, nagle czujesz się mały i słaby. Tłum — olbrzym, o wielkiej zbiorowej wadze

i sumie ogromnych doświadczeń, raz zrasta się w solidarnym oporze, to rozpada na dziesiątki par nóg i rąk — głów, z których każda inne kryje myśli i tajemnice żądań.

Jak trudno nowemu wychowawcy klasy czy internatu, gdzie trzymano dzieci w ryzach surowego rygoru, gdzie rozzuchwalone i zrażone zorganizowały się na zasadach bandyckiej przemocy. Jak silne i groźne, gdy zbiorowym wysiłkiem uderzą w twą wolę, chcąc przerwać tamę — nie dzieci, a żywioł.

Ile rewolucji ukrytych, o których wychowawca milczy; wstyd przyznać, że słabszy od dziecka.

Raz nauczony, każdego chwyci się środka, by stłumić i opanować. Żadnej poufałości, niewinnego żartu: żadnej mrukliwej odpowiedzi, wzruszenia ramion, gestu niechęci, upartego milczenia, gniewnego spojrzenia. Wyrwać z korzeniem, wypalić mściwie: lekceważenie i złośliwą krnąbrność. Hersztów przekupi przywilejem, dobierze konfidentów, nie dba o kary sprawiedliwe, byle surowe, dla przykładu, by zgasić w porę pierwszą iskrę buntu, by tłum — mocarz — i w myśli nie pokusił się dyktować żądań lub pohulać.

Słabość dziecka może budzić tkliwość, siła gromady oburza i obraża.

Istnieje kłamliwy zarzut, że życzliwość rozzuchwala dzieci, że odpowiedzią na łagodność będzie bezkarność i nieład.

Ależ dobrocią nie nazywajmy niedbalstwa, niedołęstwa i bezradnej głupoty. Wśród wychowawców prócz cwanych brutali i mizantropów, spotykamy nieużytki,

odepchnięte od wszystkich warsztatów, niezdolne do objęcia żadnej odpowiedzialnej placówki.

Bywa, że nauczyciel chce skokietować dzieci; szybko, tanio, bez pracy wkraść się w zaufanie. Chce baraszkować, gdy w dobrym humorze, nie — życie gromadne mozolnie organizować. Niekiedy łaskopańską pobłażliwość przeplatają nagle wybuchy złych humorów. Ośmiesza się w oczach dzieci.

Bywa, że ambitnemu zdaje się, że łatwo perswazją i ciepłym morałem przerobić człowieka, że wystarczy wzruszyć i wyłudzić obietnicę poprawy. — Drażni i nudzi.

Bywa, że na pokaz życzliwi, w nieszczerych frazesach sprzymierzeni, tym podstępniejsi wrogowie i krzywdziciele. — Odrazę budzą.

Odpowiedzią na poniewierkę będzie lekceważenie, na życzliwość odpowiedzią niechęć i bunt, na nieufność — konspiracja.

Lata pracy potwierdzały coraz oczywiściej, że dzieci zasługują na szacunek, zaufanie i życzliwość, że miło z nimi w pogodnej atmosferze łagodnych odczuwań, wesołego śmiechu, rzeźkich pierwszych wysiłków i zdziwień, czystych, jasnych, kochanych radości, że praca raźna, owocna i piękna.

Jedno budziło wątpliwość i niepokój.

Dlaczego niekiedy najpewniejsze zawiedzie? Dlaczego, rzadko ale bywa, nagła eksplozja niekarnego czynu gromady? Może dorośli nie lepsi, ale bardziej stateczni, pewniejsi, spokojniej można polegać.

Uparcie szukałem i zwolna znajdowałem odpowiedź.

1. — Jeśli wychowawca szuka cech charakteru i wartości, które zdają mu się szczególnie cenne, jeśli pragnie według jednego wzoru urobić, w jednym wszystkie pociągnąć kierunku — będzie wprowadzany w błąd: jedne podszyją się pod jego dogmaty, inne ulegną szczerze sugestii — do czasu. Gdy ujawni się istotne oblicze dziecka, — nie tylko on, ale i ono dotkliwie odczuje porażkę. — Im więcej wysiłku, by się maskować lub poddać wpływowi — tym burzliwsza reakcja; rozpoznane w istotnych tendencjach, dziecko nie ma już nic do stracenia. Jak ważna stąd płynie nauka.

2. — Inne miary oceny ma wychowawca, inne — gromada: i on i one widzą bogactwo ducha; on czeka, by się rozwinęły, one czekają, jaki z bogactw już dziś będzie użytek, czy dzielić się będzie tym co posiada, czy uzna za własny wyłącznie przywilej — wyniosły, zazdrosny, samolub i sknera. — Nie opowie bajki, nie zagra, nie narysuje, nie pomoże, nie przysłuży się — „łaskę robi“, „prosić się go trzeba“. — Osamotniony, mocnym gestem chce wkupić się w życzliwość własnej społeczności, która z radością przyjmuje nawrócenie. — Nie zepsuł się nagle, a przeciwnie, zrozumiał i poprawił.

3. — Zbiorowo zawiodły, ogół uraził.

Znalazłem wytłumaczenie w książce o tresowaniu zwierząt — i nie ukrywam źródła. — Więc lew nie wtedy niebezpieczny, gdy gniewny, ale gdy rozigrany, pragnie poswawolić; a tłum jest silny, jak lew...

Nie tylko w psychologii poszukiwać należy rozwiązań, ale bardziej w książce lekarskiej, socjologii, etnologii, historii, poezji, kryminologii, modlitewniku i podręczniku tresury. Ars longa.

4. — Przyszło najsłoneczniejsze, oby nie ostatnie wyjaśnienie. Dziecko tak upić się może tlenem powietrza, jak dorosły wódką. — Podniecenie, zahamowanie ośrodków kontroli, hazard, zaćmienie; jako reakcja — zażenowanie, zgaga, uczucie niesmaku i winy. — Obserwacja moja jest ścisła — kliniczna. Najczcigodniejszy może mieć słabą głowę.

Nie karcić: to jasne pijaństwo dzieci budzi wzruszenie i cześć; nie oddala i różni, a zbliża i sprzymierza.

Ukrywamy własne wady i karygodne czyny. Nie wolno dzieciom krytykować, nie wolno dostrzegać naszych przywar, nałogów i śmiesznostek. Pozujemy na doskonałość. Pod groźbą najwyższej urazy bronimy tajemnic panującego klanu, kasty wtajemniczonych — poświęconych w wyższe zadania. Tylko dziecko wolno obnażyć bezwstydnie i postawić pod pręgierz.

Gramy z dziećmi fałszowanymi kartami; słabostki wieku dziecięcego bijemy tuzami dorosłych zalet. Szulerzy tak tasujemy karty, by ich najgorszym przeciwstawić, co wśród nas dobre i cenne.

Gdzie nasi niedbalcy i lekkomyślni, łakomi smakosze, głupcy, lenie, hultaje, awanturnicy, niesumienni, oszuści, pijacy, złodzieje, gdzie nasze gwałty i zbrodnie głośne i zatajone; ile niesnasek, podstępu, zazdrości, obmów i szantaży, słów które kaleczą, czynów, co hańbią; ile cichych tragedii rodzinnych, w których cierpią dzieci, pierwsze męczeńskie ofiary.

My ośmielamy się winić i oskarżać?!

A przecież dorosła społeczność starannie przesiana, przefiltrowana. Ile wsiąkło w mogiłę, kryminał i dom obłąkanych, spłynęło w kanały mętów i szumowin.

Każemy szanować starszych i doświadczonych, nie rozumować; mają bliższą wśród siebie, doświadczoną starszyznę wyrostków, ich natrętną namowę i presję.

Występne i niezrównoważone krążą samopas i potrącają, roztrącają, krzywdzą i zarażają. I za nie ogół dzieci ponosi solidarną odpowiedzialność (bo i nam się zlekka czasami dają we znaki). Te nieliczne oburzają stateczną opinię, znaczą się jaskrawymi plamami na powierzchni życia dziecięcego: one dyktują rutynie metody postępowania: krótko, choć to gnębi, ostro, choć rani, surowo, to znaczy brutalnie.

Nie pozwalamy się dzieciom zorganizować; lekceważąc, nie ufając, niechętni, nie dbamy: bez rzeczoznawców udziału nie podołamy; a rzeczoznawcą jest dziecko.

Czyżeśmy aż tak bezkrytyczni, że jako życzliwość, markujemy pieszczoty, którymi nękamy dzieci? Czyż nie rozumiemy, że tuląc dziecko, my właśnie tulimy się do niego, w jego uścisku kryjemy się bezradni, szukamy osłony i ucieczki w godzinach bezdomnego bólu, bezpańskiego opuszczenia, obarczamy ciężarem naszych cierpień i tęsknot.

Każda inna pieszczota, nie ucieczki ku dziecku i błagania o nadzieję, jest karygodnym doszukiwaniem się w nim i budzeniem zmysłowych odczuwań.

— Tulę, bo mi smutno. Pocałuj, to ci dam.

Egoizm, nie życzliwość.

PRAWO DO SZACUNKU

Są jakby dwa życia: jedno poważne, szanowne, drugie pobłażliwie tolerowane, mniej warte. Mówimy: przyszły człowiek, przyszły pracownik, przyszły obywatel. Że będą, że później zaczną naprawdę, że na serio dopiero w przyszłości. Pozwalamy łaskawie plątać się obok, ale wygodniej bez nich.

Nie, przecież były i będą. Nie zaskoczyły nas niespodzianie i na czas krótki. Dzieci — nie przelotnie spotkany znajomek, którego można minąć w pośpiechu, którego zbyć łatwo uśmiechem i pozdrowieniem.

Dzieci stanowią dużą odsetkę ludzkości, ludności, narodu, mieszkańców, współobywateli, — stali towarzysze. Były, będą i są.

Czy istnieje życie na żarty? Nie, wiek dziecięcy — długie, ważne lata żywota, człowieka.

Okrutne a szczere prawo Grecji i Rzymu pozwala zabić dziecko. W średniowieczu rybacy sieciami wyławiają z rzeki zwłoki topionych niemowląt. W XVII stuleciu w Paryżu sprzedają starsze żebrakom, małe przed Notre Dame rozdają darmo. — Bardzo niedawno. — I po dziś dzień cisną, gdy zawadza.

Zwiększa się ilość nieślubnych, opuszczonych, zaniedbanych, wyzyskiwanych, deprawowanych, maltretowanych. Prawo je broni, ale czy zabezpiecza w dosta-

tecznej mierze? Zmieniło się wiele; stare prawa wymagają rewizji.

Zbogaciliśmy się. Już nie z owoców własnej korzystamy pracy. Jesteśmy spadkobiercy, akcjonariusze, współwłaściciele olbrzymiej fortuny. Ile posiadamy miast, gmachów, fabryk, kopalni, hoteli, teatrów; ile na rynkach towarów, ile okrętów je wozi, — narzucają się spożywcy, proszą, by użyć.

Zróbmy bilans, obliczmy, ile z ogólnego rachunku należy się dziecku, ile mu przypada w dziale nie z łaski, nie jako jałmużna. Sprawdźmy rzetelnie, ile wydzielamy na użytek ludu dziecięcego, narodu małorosłego, klasy pańszczyźnianej. Ile wynosi scheda, jaki winien być podział; czy nie wydziedziczyliśmy, — nieuczciwi opiekunowie, nie wywłaszczyli.

Ciasno im, duszno, biednie, nudno i surowo.

Wprowadziliśmy powszechne nauczanie, przymus pracy umysłowej; istnieje registracja i pobór szkolny. Zwaliliśmy na barki dziecka trud uzgodnienia rozbieżnych interesów dwóch równoległych autorytetów.

Szkoła żąda, rodzice niechętnie dają. Konflikty między rodziną i szkołą obarczają dziecko. Rodzice solidaryzują się z nie zawsze sprawiedliwym oskarżeniem dziecka przez szkołę, broniąc się przed narzucaną przez szkołę opieką.

Wysiłek służby żołnierza też jest przygotowaniem na dzień, gdy go wezwą do czynu; a przecież państwo zabezpiecza wszystkie jego potrzeby. Państwo daje mu

dach i strawę; mundur, karabin i żołd jest jego prawem, a nie jałmużną.

Dziecko żebrać musi u rodziców lub gminy, podlegając przymusowi powszechnego nauczania.

Prawodawcy genewscy pomieszali obowiązki i prawa; ton deklaracji jest perswazją, nie żądaniem: apel do dobrej woli, prośba o życzliwość.

Szkoła tworzy rytm godzin, dni i lat. Urzędnicy szkoły mają zaspokajać dzisiejsze potrzeby młodych obywateli. Dziecko jest istotą rozumną, zna dobrze potrzeby, trudności i przeszkody swego życia. Nie despotyczny nakaz, narzucone rygory i nieufna kontrola, ale taktowne porozumienie, wiara w doświadczenie, współpraca i współżycie.

Dziecko nie jest głupie; głupców wśród nich nie więcej, niż wśród dorosłych. — Przystrojeni w purpurę lat, jakże często narzucamy bezmyślne, bezkrytyczne, niewykonalne przepisy. Zdumione staje niekiedy rozumne dziecko wobec napastliwej, leciwej, urągliwej głupoty.

Ma dziecko przyszłość, ale ma i przeszłość: pamiętne zdarzenia, wspomnienia, wiele godzin najistotniejszych samotnych rozważań. Nie inaczej, niż my, pamięta i zapomina, ceni i lekceważy, logicznie rozumuje — i błądzi, gdy nie wie. Rozważnie ufa i wątpi.

Dziecko jest cudzoziemcem, nie rozumie języka, nie zna kierunku ulic, nie zna praw i zwyczajów. Niekiedy samo rozejrzeć się woli; gdy trudno, prosi o wskazówkę i radę. Potrzebny przewodnik, który grzecznie odpowie na pytanie.

Szacunku dla jego niewiedzy.

Złośliwiec, aferzysta i szelma wyzyska niewiedzę cudzoziemca, da niezrozumiałą odpowiedź, rozmyślnie w błąd wprowadzi. Gbur mruknie niechętnie. — Ujadamy, użeramy się z dziećmi, strofujemy, karcimy, karzemy, nie informujemy życzliwie.

Jakże opłakanie ubogie byłyby wiadomości dziecka, gdyby ich nie czerpało od rówieśników, nie podsłuchiwało, nie wykradało ze słów i rozmów dojrzałych.

Szacunku dla pracy poznania.

Szacunku dla niepowodzeń i łez.

Nie tylko podarta pończocha, ale zadrapane kolano, nie tylko stłuczona szklanka, ale skaleczony palec, i siniak i guz, więc ból.

Kleks w zeszycie, to przypadek, przykrość i niepowodzenie.

— Gdy tatuś wyleje herbatę, mamusia mówi: nie szkodzi; na mnie zawsze się gniewa.

Nie oswojone z bólem, krzywdą, niesprawiedliwością, dotkliwie cierpią, częściej płaczą; nawet łzy dziecka wywołują żartobliwe uwagi, zdają się mniej ważne, gniewają.

— Piszczy, beczy, maże się, skrzeczy.

(Wiązanka wyrazów, które na użytek dzieci wynalazł słownik dorosły).

Łzy uporu i kaprysu — to łzy niemocy i buntu, rozpaczliwy wysiłek protestu, wołanie o pomoc, skarga na niedbałą opiekę, świadectwo, że nierozumnie krępują i zmuszają, objaw złego samopoczucia, a zawsze cierpienie.

Szacunku dla własności dziecka i jego budżetu. Dziecko dzieli boleśnie troski materialne rodziny, odczuwa braki, porównywa własne ubóstwo z dostatkiem kolegi, dolegają mu gorzkie grosze, o które zuboża. Nie chce być ciężarem.

Co robić, gdy potrzebna i czapka, i książka, i kino; zeszyt, gdy wypisany, ołówek gdy zgubił albo mu zabrali; chciałoby się dać na pamiątkę miłej osobie, i ciastko kupić, i pożyczyć koledze. Tyle istotnych potrzeb, życzeń i pokus, a nie ma.

Czy fakt, że w sądach dla nieletnich właśnie kradzieże stanowią przeważny odsetek — nie woła, nie wzywa? Mści się lekceważenie budżetu dziecka, nie pomogą kary.

Własność dziecka — nie rupiecie, a żebraczy materiał i narzędzia pracy, nadzieje i pamiątki.

Nie urojone, a istotne, dzisiejsze troski i niepokoje, gorycz młodych lat i rozczarowania.

Rośnie. Mocniej żyje, oddech szybszy, tętno żywsze, buduje siebie — coraz go więcej; głębiej wrasta w życie. Rośnie we dnie i w nocy, gdy śpi i czuwa, gdy wesołe i smutne, gdy broi, gdy stoi przed tobą skruszone.

Są wiosny zdwojonej pracy rozwoju i jesienie zacisza. Raz kościec narasta, serce nie nadąża, to brak, to nadmiar, inny chemizm zanikających i budzonych gruczołów, inny niepokój i niespodzianka.

Raz pragnie biegać, tak jak oddychać, chce zmagać się, dźwigać, zdobywać; to ukryć się, snuć marzenie, wiązać tęskne wspomnienia. Naprzemian hart lub po-

trzeba spokoju, ciepła i wygody. Naprzemian silnie i gorąco pragnie lub zniechęcone.

Znużenie, niedomaganie bólu, kataru, za gorąco, za zimno, senność, głód, pragnienie, nadmiar, brak, złe samopoczucie — nie grymas, nie szkolna wymówka.

Szacunku dla tajemnic i wahań ciężkiej pracy wzrostu.

Szacunku dla bieżącej godziny, dla dnia dzisiejszego. Jak będzie umiało jutro, gdy nie dajemy żyć dziś świadomym, odpowiedzialnym życiem?

Nie deptać, nie poniewierać, nie oddawać w niewolę jutra, nie gasić, nie spieszyć, nie pędzić.

Szacunku dla każdej z osobna chwili, bo umrze i nigdy się nie powtórzy, a zawsze na serio; skaleczona krwawić będzie, zamordowana płoszyć upiorem złych wspomnień.

Pozwólmy ochoczo pić radość poranka i ufać. Dziecko tak właśnie chce. Nie żal mu czasu na bajkę, rozmowę z psem, chwytanie piłki, dokładne obejrzenie obrazka, przerysowanie litery, a wszystko życzliwie. Ono właśnie ma słuszność.

Naiwnie obawiamy się śmierci, nieświadomi, że życie jest korowodem zamierających i nowozrodzonych momentów. Rok — tylko próba zrozumienia wieczności na powszedni użytek. Chwila trwa tyle, ile uśmiech lub westchnienie. Matka pragnie wychować dziecko. Nie doczeka: raz wraz inna kobieta innego żegna i wita człowieka.

Dzielimy nieudolnie lata na mniej i więcej dojrzałe; nie ma niedojrzałego dziś, żadnej hierarchii wieku, żad-

nych wyższych i niższych rang bólu i radości, nadziei i zawodów.

Gdy bawię się czy rozmawiam z dzieckiem — splotły się dwie równie dojrzałe chwile mojego i jego życia; gdy jestem z gromadą dzieci, na mgnienie witam i żegnam zawsze jedno spojrzeniem i uśmiechem. Gdy gniewam się, znów razem — tylko moja zła mściwa chwila gwałci i zatruwa jego dojrzałą, ważną chwilę życia.

Zrzekać się dla jutra? Jakie zwiastuje ponęty? Rysujemy przesadnie ciemnymi barwami. Sprawdza się przepowiednia: wali się dach, bo zlekceważono fundament budowli.

PRAWO DZIECKA, BY BYŁO, CZYM JEST

— Co z niego będzie, co wyrośnie? — pytamy się z niepokojem.

Pragniemy, by dzieci lepsze od nas były. Śni nam się doskonały człowiek przyszłości.

Czujnie trzeba się przychwytywać na kłamstwie, przygważdżać w frazes przybrany egoizm. Niby ofiarna rezygnacja, w istocie ordynarny szwindel.

Porozumieliśmy się z sobą i pogodzili, wybaczyli i zwolnili z obowiązku poprawy. Źle nas wychowano. Za późno. Już wady i przywary zakorzenione. Nie pozwalamy dzieciom krytykować, ani się sami kontrolujemy.

Rozgrzeszeni, zrzekliśmy się walki z sobą, obarczając ciężarem jej dzieci.

Wychowawca skwapliwie przyswaja dorosły przywilej: nie siebie, a dzieci pilnować, nie swoje, a dzieci regestrować winy.

Winą dziecka będzie wszystko, co uderza w nasz spokój, ambicję i wygodę, naraża i gniewa, godzi w przyzwyczajenia, absorbuje czas i myśl. Nie uznajemy uchybień bez złej woli.

Dziecko nie wie, nie dosłyszało, nie zrozumiało, przesłyszało się, omyliło się, nie udało mu się, nie może — wszystko jest winą. Niepowodzenie dziecka

i złe samopoczucie, każdy trudny moment — to wina i zła wola.

Nie dość szybko lub zbyt szybko, nie dość sprawnie wykonana czynność — wina niedbalstwa, lenistwa, roztargnienia, niechęci.

Niespełnienie krzywdzącego, niewykonalnego żądania — wina. Partackie złośliwe podejrzenie — też wina. — Winą dziecka są nasze obawy i podejrzenia, nawet wysiłek poprawy.

— Widzisz: jak chcesz, możesz.

Zawsze znajdziemy coś do zarzucenia, żarłocznie żądamy więcej.

Czy ustępujemy taktownie, czy unikamy niepotrzebnych zadrażnień, czy ułatwiamy współżycie? Czy nie my właśnie jesteśmy uparci, grymaśni, zaczepni i kapryśni?

Dziecko narzuca się naszej uwadze, gdy przeszkadza i mąci; te tylko momenty dostrzegamy i pamiętamy. Nie widzimy, gdy spokojne, poważne, skupione. Lekceważymy święte chwile jego rozmowy z sobą, światem, Bogiem. Dziecko kryć zmuszone tęsknoty i porywy przed drwiną i szorstką uwagą, ukrywa chęć porozumienia, nie wyzna decyzji poprawy.

Kryje posłusznie przenikliwe spojrzenia, zdziwienia, niepokoje, żale — gniew i bunt. — Chcemy, by skakało i klaskało w ręce, więc ukazuje uśmiechniętą twarz trefnisia.

Hałaśliwie przemawiają złe czyny i złe dzieci, zagłuszają szept dobra, a dobra tysiąckroć więcej, niż zła.

Silne jest dobro i niezłomnie trwa. Nieprawda, że łatwiej zepsuć, niż poprawić.

Ćwiczymy uwagę swą i wynalazczość w podpatrywaniu zła, doszukiwaniu się, węszeniu i tropieniu, przyłapywaniu na gorącym uczynku, w złych przywidywaniach i krzywdzących podejrzeniach.

(Czy pilnujemy starców by nie grali w futbol? Jaką ohydą jest uparte węszenie onanizmu u dzieci).

Jedno stuknęło drzwiami, jedno łóżko źle posłane, jedno palto się zarzuciło, jeden kleks w zeszycie. Gdy nie besztamy, bodaj zrzędzimy, zamiast się cieszyć, że tylko jedno.

Słyszymy skargi i kłótnie; ale ile więcej przebaczenia, ustępstw, pomocy, opieki, przysług, nauki, dobrych wpływów, głębokich i pięknych. Nawet zaczepne i złośliwe nie tylko wyciskają łzy, ale sieją uśmiechy.

Chcemy opieszale, żeby żadne i nigdy, by z 10.000 sekund szkolnej godziny (oblicz) nie było żadnej trudniejszej.

Czemu dziecko złe dla jednego wychowawcy, dobre dla drugiego? Żądamy uniformu cnót i momentów, nadto — według naszych upodobań i wzorów.

Czy znajdziemy w historii przykład podobnej tyranii? Rozmnożyło się pokolenie Neronów.

Obok zdrowia jest niedomaganie, obok zalet i wartości istnieją braki i wady.

Obok niewielu dzieci wesela i święta — którym życie jest bajką i podniosłą legendą, ufnych i życzliwych — jest ogół dzieci, którym od zarania głosi świat ponure prawdy niezdobnymi, twardymi wyrazami.

Zepsute przez wzgardliwe pomiatanie prostactwa i niedostatku, zepsute przez zmysłowe, pieszczotliwe lekceważenie przesytu i wyrafinowania.

Zamorusane, nieufne, zrażone do ludzi, nie złe.

Nie tylko dom, ale sień, korytarz, podwórko i ulica dają dziecku wzory. Mówi słowami otoczenia, wygłasza poglądy, powtarza gesty, naśladuje przykłady. Nie znamy dziecka czystego — każde w mniejszym lub większym stopniu zbrukane.

O jak szybko wyzwala się i oczyszcza; tego się nie leczy, to się zmywa; dziecko pomaga ochoczo, ciesząc się, że się odnalazło. Tęsknie czekało kąpieli, uśmiecha się do ciebie, do siebie.

Takie naiwne triumfy z powiastki o sierotkach święci każdy wychowawca; przypadki te łudzą niekrytycznych moralistów, że łatwo. Partacz się w nich lubuje, ambitny sobie przypisuje zasługę, brutala gniewa, że się tak dzieje nie zawsze; jedni chcą wszędzie osiągnąć podobne wyniki, zwiększając dozę perswazji, drudzy — nacisku.

Obok zasmolonych tylko, spotykamy dzieci okaleczone i ranne; są rany cięte, które nie pozostawiają blizn, skłejają się same pod czystym opatrunkiem. Na gojenie ran szarpanych dłużej czekać trzeba, pozostają bolesne blizny; nie wolno urażać. Krosty i wrzody więcej wymagają starania i cierpliwości.

Lud mówi: gojące ciało; chciałoby się dodać: i dusza.

Ile drobnych zadraśnięć i zarazy w szkole i internacie, ile pokus i natrętnych szeptów; a jakie przelotne i niewinne działanie. Nie obawiajmy się groźnych epide-

mii, gdzie aura internatu zdrowa, gdzie w powietrzu ozon i światło.

Jak mądrze, zwolna i cudownie odbywa się proces zdrowienia. Ile we krwi, sokach i tkankach kryje się czcigodnych tajemnic. Jak każda zakłócona funkcja i urażony narząd starają się odzyskać równowagę i sprostać zadaniu. Ile cudów we wzroście rośliny i człowieka, w sercu, mózgu, oddechu. Najdrobniejsze wzruszenie czy wysiłek — już mocniej serce łopoce, już tętno żywsze.

Tę samą moc i trwałość ma duch dziecka. Istnieje równowaga moralna i czujność sumienia. Nieprawda, że dzieci łatwo się zarażają.

Słusznie, późno niestety, pedologia znalazła się w programach szkół. Bez rozumienia harmonii ciała nie można przeniknąć się szacunkiem dla misterium poprawy.

Partackie rozpoznanie wali na kupę dzieci ruchliwe, ambitne, krytyczne, wszystkie niedogodne, a zdrowe i czyste — obok rozżalonych, nadąsanych, nieufnych — zbrukanych, skuszonych, lekkomyślnych, potulnie posłusznych złym wzorom. Niedojrzałe, niedbałe, powierzchowne spojrzenie miesza je i myli z rzadkimi występnymi, obarczonymi złą tarą.

(My dorośli umieliśmy nie tylko unieszkodliwić pasierbów losu, ale umiejętnie korzystamy z pracy wydziedziczonych).

Zmuszone współżyć z nimi, zdrowe dzieci cierpią podwójnie: krzywdzone i wciągane w wykroczenia.

A my czy nie oskarżamy lekkomyślnie ogółu, nie narzucamy zbiorowej odpowiedzialności?

— Oto jakie bywają, do czego są zdolne.

Najgorsza bodaj z krzywd.

Potomstwo pijaństwa, gwałtu i szału. Wykroczenia są echem głosów nie z zewnątrz, a wewnętrznego rozkazu. Mroczna chwila, gdy zrozumiało, że inne, że trudno, że kaleka; że wyklną i szczuć będą. Pierwsze decyzje walki z siłą, która złe czyny dyktuje. Co inni darmo dostali, tak łatwo, co w innych powszednie i błahe, jasne dnie równowagi ducha — ono otrzymuje w nagrodę za krwawe zmagania. Szuka pomocy; jeśli zaufa, — garnie się, prosi, żąda: „ratujcie". Zwierzył tajemnicę, chce się poprawić, raz na zawsze, od razu, w porywie wysiłku.

Zamiast rozważnie hamować lekkomyślny impet, opóźniać decyzję poprawy, niezdarnie zachęcamy i przyśpieszamy. Chce się wyzwolić, staramy się usidlić, chce się wyrwać, my obłudne szykujemy pułapki. Gdy pragną jawnie i szczerze, uczymy tylko ukrywać. Dają nam dzień, cały długi bez skazy, my za jeden zły moment odtrącamy. Czy warto?

Moczył się codziennie, teraz rzadziej, było lepiej, znów pogorszenie — nie szkodzi. Dłuższe pauzy między napadami epileptyka. Rzadziej kaszle, obniżyła się gorączka chorego na gruźlicę. Jeszcze nawet nie lepiej, ale bez pogorszenia. — I to zapisuje lekarz na plus kuracji. Tu nic nie da się wyłudzić ani wymusić.

Zrozpaczone, zbuntowane, z pogardą dla uległego, łaszącego się pospólstwa cnoty — stają te dzieci przed

wychowawcą; jedną może ostatnią zachowały świętość: niechęć do obłudy. Tę chcemy powalić, skatować. Krwawej dopuszczamy się zbrodni, głodem i torturą obezwładniamy — i łamiemy brutalnie nie bunt, a jawność jego, lekkomyślnie do biała rozżarzamy nienawiść podstępu i hipokryzji.

Nie zrzekają się programu zemsty, odkładają, czekają na sposobność. Jeśli wierzą w dobro, w największej tajemnicy zagrzebią ku niemu tęsknotę.

— Dlaczego pozwoliliście się urodzić, kto wam się napraszał o moje psie życie?

Sięgam po najwyższe wtajemniczenie, najtrudniejszą iluminację. Dla wykroczeń i uchybień wystarczy cierpliwa, życzliwa wyrozumiałość; występnym potrzebna jest miłość. Ich gniewny bunt sprawiedliwy. Trzeba odczuć żal ku łatwej cnocie, sprzymierzyć się z samotnym, wyklętym występkiem. — Kiedy, jeśli nie teraz, otrzyma kwiat uśmiechu?

W zakładach poprawczych jeszcze inkwizycja, tortura średniowiecznych kar, solidarna zawziętość i mściwość poniewierki. Czy nie widzicie, że najlepszym dzieciom żal tych najgorszych: czym winne?

Niedawno pokorny lekarz posłusznie podawał chorym słodkie ulepki i gorzkie mikstury; wiązał gorączkujących, puszczał krew, głodził w ponurych przedsionkach cmentarza. Dogadzał możnym, oschły wobec biedoty.

Aż począł żądać — otrzymał.

Lekarz zdobył dla dzieci przestrzeń i słońce, jak — ku naszemu wstydowi — generał dał dziecku ruch, ochoczą przygodę, radość życzliwej przysługi, decyzję prawego życia w gawędzie przy ognisku pod niebem migotliwym obozu.

Jaka nasza wychowawców rola, jaki dział pracy?

Dozorca ścian i mebli, ciszy podwórka, czystości uszów i podłogi; pastuch bydła, by nie lazło w szkodę, nie przeszkadzało dorosłym w pracy i wesołych wywczasach; klucznik zdartych portek i butów i skąpy szafarz kaszy. — Stróż dorosłego przywileju i gnuśny wykonawca niefachowego kaprysu.

Kramik obaw i przestróg, stragan moralnej tandety, wyszynk denaturowanej wiedzy, która onieśmiela, plącze i usypia, zamiast budzić, ożywiać i cieszyć. Agenci taniej cnoty, mamy narzucać dzieciom czcie i pokory, a roztkliwiać dorosłych, łechtać ciepłe wzruszenia. Za psi grosz budować solidną przyszłość, oszukiwać i zatajać, że dzieci są liczbą, wolą, siłą i prawem.

Lekarz wydarł dziecko śmierci, zadaniem wychowawców dać mu żyć, zdobyć prawo, by było dzieckiem.

Badacze orzekli, że człowiek dojrzały kieruje się pobudkami, dziecko popędami, dorosły logiczny, dziecko narwane w złudnej wyobraźni; dorosły ma charakter, ustalone oblicze moralne, dziecko wikła się w chaosie instynktów i chceń. Badają dziecko nie jako odmienną, ale niższą, słabszą, biedniejszą organizację psychiczną. — Niby: dorośli wszyscy — uczone profesory.

A dorosły bigos, zaścianek poglądów i przekonań, psychologia stada, przesądy i nawyki, lekkomyślne czyny ojców i matek, całe od dołu do góry nieodpowiedzialne życie dorosłe. Niedbalstwo, lenistwo, tępy upór, bezmyślność, dorosłe niedorzeczności, szaleństwa i pijane wybryki.

A powaga, rozwaga i równowaga dziecięca, solidne zobowiązania, doświadczenie na własnym odcinku, kapitał sprawiedliwych sądów i ocen, taktowna powściągliwość w żądaniach, subtelne odczuwania, niemylne poczucie słuszności.

Czy każdy wygra, grając z dzieckiem w szachy?

Żądajmy szacunku dla jasnych oczu, gładkich skroni, młodego wysiłku i ufności. Czym bardziej czcigodne przygasłe spojrzenie, sfałdowane czoło, szorstka siwizna, pochylona rezygnacja?

I wschód i zachód słońca. Zarówno modlitwa poranna i wieczorna. I wdech i wydech, i skurcz i rozkurcz serca.

Żołnierz, gdy w bój rusza i gdy wraca, pyłem okryty.

Rośnie nowe pokolenie, nowa wznosi się fala. Idą z wadami i zaletami; dajcie warunki, by wzrastali lepsi. — Nie wygramy procesu z trumną chorej dziedziczności, nie powiemy chabrom, by były zbożem.

Nie jesteśmy cudotwórcami — nie chcemy być szarlatanami. Zrzekamy się obłudnej tęsknoty do dzieci doskonałych.

Żądamy: usuńcie głód, chłód, wilgoć, zaduch, ciasnotę, przeludnienie.

To wy płodzicie chore i ułomne, wy stwarzacie warunki buntu i zarazy: wasza lekkomyślność, nierozum i brak ładu.

Baczność: życie współczesne kształtuje silny brutal, homo rapax: on dyktuje metody działania. Kłamstwem są jego ustępstwa dla słabych, fałszem cześć dla starca, równouprawnienie kobiety i życzliwość dla dziecka. Błąka się bezdomne uczucie — kopciuszek. A właśnie dzieci — książęta uczuć, poeci i myśliciele.

Szacunku, jeśli nie pokory, dla białego, jasnego, niepokalanego, świętego dziecięctwa.

Biblioteka Pedagogiczna we Wrocławiu

W SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „KSIĄŻKA"

ukazały się następujące prace

JANUSZA KORCZAKA:

NA KOLONIACH LETNICH

(JÓZKI, JAŚKI, FRANKI I MOŚKI, JOSKI, SRULE)

Książka dla młodzieży

JAK KOCHAĆ DZIECKO

(INTERNAT, KOLONIE LETNIE)

JAK KOCHAĆ DZIECKO

(DZIECKO W RODZINIE)

PRAWO DZIECKA DO SZACUNKU

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
15827